

Dariusz Pawlicki

O zatajanym współautorstwie

„Pamiętam, jak nasze korektorki poprawiały – i to mocno – prozę Juliana Strykowskiego” – taką m.in. informację zawarł w e-liście do mnie Rajmund Kalicki, jeden z redaktorów szacownego miesięcznika „Twórczość”.

Od tego cytatu i od uwagi, że nad każdym (chyba) tekstem wspomnianego prozaika zamieszczonym we wzmiarkowanym czasopiśmie, widniało wyłącznie jego imię i nazwisko, zaczęłam rozważania na temat zjawiska powszechnego i powszechnie akceptowanego. Moim zaś zdaniem – szkodliwego. I jakby tego było mało – mającego znamiona kłamstwa. Odnoszę jednak wrażenie, że zdecydowana większość osób bezpośrednio zaangażowanych w tę działalność – może nawet 99 % – jest przekonanych, iż wykonuje wielce pożyteczną pracę. I nie ma sobie nic do zarzucenia. Bo też praca mająca na celu podporządkowanie, takiego czy innego, utworu rygorom języka, w jakim on powstał, uczynienie go klarownym itd. – nie wspominając o poprawieniu błędów ortograficznych – jest pożądana i jak najbardziej wskazana, ale... Chodzi mi właśnie o owo „ale”.

To, że w utwory pisarzy (szczególnie prozaików, poetów dotyczy to w mniejszym stopniu) ingerowały niejednokrotnie osoby drugie, było dla mnie rzeczą, jak najbardziej oczywistą. I nie chodzi mi o dokonaną przez nie korektę, którą jest „poprawianie błędów, nanoszenie poprawek na próbnych odbitkach drukarskich” (*Słownik języka polskiego*, 1978). Ta jest niezbędną dla wychwycenia, chociażby, literówek niedostrzeżonych przez autora. Natomiast mam na uwadze adiustację polegającą m. in. na zmianach stylistycznych dokonanych w tekście. W tym wypadku ingerencje, z samego założenia, są o wiele poważniejsze. Gdy jest ich więcej („więcej” to oczywiście określenie nieprecyzyjne), wręcz wpływają na ostateczny kształt utworu. Z tego zdawałam sobie sprawę; tym bardziej, że korekty i adiustacje, nie raz i nie dwa, wykonywałam. Nie wyciągałam jednak dalej idących wniosków. Czynnę to, niestety, dopiero teraz.

Możliwość dokonanych niewielkich poprawek w pierwotnych maszynopisach, to znaczy wynikających ze wspomnianej korekty, pod uwagę biorą może nawet wszyscy czytający. Zdecydowanie czym innym są jednak, wspomniane powyżej, zmiany ingerujące głęboko w teksty dostarczane do redakcji wydawnictw bądź czasopism. I jestem pewien, że większość czytelników – najprawdopodobniej chodzi jednak o ich zdecydowaną większość – nie jest świadoma powszechności i „intensywności” tego zjawiska. Oczywiście należy brać pod uwagę istnienie i takich utworów, których pierwotne wersje nie różnią się

niczym od tych, które doczekały się postaci książkowej bądź czasopiśmienniczej. Napisano je w wersji, którą redaktorzy uznali za bezbłędną lub ich autorzy nie dopuścili do dokonania jakichkolwiek zmian (ranga ich nazwiska mogła im w tym pomóc). Albo też wydając np. własnym sumptem nie musieli brać pod uwagę niczyjego zdania. W grę wchodzić i takie przypadki, gdy nikt nie śmiał wspomnieć mistrzom popełnionych przez nich błędów. Istniała bowiem obawa, że w przeciwnym razie udadzą się do konkurencji.

Informacja o zaangażowaniu korektorki w ostateczną postać tekstów Juliana Strykowskiego, jakie ukazały się na łamach „Twórczości”, wskazuje, że owe utwory zostały uznane za (cokolwiek) ułomne. I choćby z tego powodu – poddane adiustacji, a nie korekcie. Ale wobec tego, czy imię i nazwisko tego konkretnego autora, jak i każdego innego, który był w podobnej sytuacji – a było w niej wielu – nie powinno być uzupełnione nazwiskami tych, którzy wnieśli istotny wkład w powstanie wersji, jaka została ostatecznie zaprezentowana? Moim zdaniem – a uważam tak, przynajmniej od niedawna – takie uzupełnienie powinno mieć każdorazowo miejsce. W grę mogłoby wchodzić zapisanie nazwisk współautorów drobniejszą czcionką bądź wymienienie ich w przypisie. W przypadku niechęci do występowania pod nazwiskiem, formą uhonorowania/docenienia mogłoby być zamieszczenie, po imieniu i nazwisku głównego autora, np. dopisku: plus zespół. Innymi stosownymi miejscami dla tego typu informacji, mogłaby być stopka wydawnicza (w przypadku książek) lub redakcyjna (jeśli chodzi o gazety bądź czasopisma).

W tym miejscu wspomnę, że nie zetknąłem się nigdy, czy to w przypadku książek beletrystycznych, czy eseistycznych z informacją o zastosowaniu względem nich adiustacji. Jeśli już, to mowa była, tylko i wyłącznie, o korekcie. Wnoszę z tego, że terminy: „korekta” i „korektor” niejednokrotnie pełnią rolę eufemizmów mających osłodzić pisarzowi/pisarce to, że ich maszynopisy, używając terminologii związanej z kosmetologią, nie zostały poddane zabiegom upiększającym, ale przeszły bardzo poważną operację plastyczną. Chodzi też oczywiście o ukrycie tego faktu przed czytelnikami. Autorzy nie muszą o to prosić, to dzieje się za sprawą albo tradycji, albo... przyzwyczajenia.

Nie mam pewności – w przeciwieństwie do beletrystyki, poezji, eseistyki – czy podobnie dzieje się w przypadku książek określanych mianem naukowych. Ale biorę to bardzo poważnie pod uwagę. Podejrzewam bowiem, że za znajdującymi się we wstępach do tego rodzaju publikacji podziękowaniach za bezcenne uwagi, skierowanych do konkretnych osób, kryją się także ingerencje w tekst (te zaś

nastąpiły, gdyż w przeciwnym razie praca np. młodego pracownika nauki, a może nawet uczonego na dorobku, w ogóle by nie ukazała się drukiem). Z tym, że w przypadku tego rodzaju książek, nawet, gdy mają miejsce znaczne zmiany w ich treści, ze strony osób drugich, ale nie przeinaczają one poglądów autora zawartych w pierwotnej wersji, nie można mówić o współautorstwie. Liczy się argumentacja na rzecz tezy przyjętej przez autora bądź przeciw tezie postawionej przez jego oponenta. A wszelkie sugestie mające na celu zwiększenie siły prezentowanych argumentów, są jak najbardziej wskazane.

Lecz w przypadku tej części literatury, którą nazywamy artystyczną bądź piękną, owa ingerencja w tekst, nazywana adiustacją, nie powinna mieć miejsca. Chyba, że, jak już zaznaczyłem, nazwisko adiustatora, czyli w pewnym stopniu współautora, zostanie odnotowane. Postępowanie przeciwne jest, moim zdaniem, oszustwem. No bo jak to przemilczenie ma się do rzeczywistości literackiej? Nijak. Domyślam się, że niejednen z autorów czułby dyskomfort, gdyby zostało zaznaczone, że w powstanie wersji ostatecznej, tej która była wychwalana i wielokrotnie nagradzana, wkład wniosła osoba druga, a może i trzecia. A uczciwość wymaga, aby w tym wypadku mówić o współautorstwie. Tak, byłoby to przyznaniem się, czarno na białym, ze strony nominalnego autora, że jako pisarz nie sprostał wyzwaniu. Ze względu na to, że panujący obecnie obyczaj (nie wiem czy w epokach minionych był on inny) nie wymaga jednak odnotowania takowego współautorstwa, może funkcjonować, jako jedyny i wyłączny. W takiej sytuacji autor winien jednak czuć zażenowanie, gdy wyłącznie on jest chwalony – jeśli jest w ogóle chwalony – za stworzenie dzieła, którego nie jest wyłącznym autorem; choćby wkład jego pracy był obiektywnie najistotniejszy. Rzecz jasna może to wchodzić w grę tylko wtedy, gdy coś takiego jak zażenowanie jest mu znane. Bo cóż z tego, jeżeli kłopotów z zasypianiem nie ma; co najwyżej, niekiedy, sen przychodzi z pewnym opóźnieniem. A on budzi się o poranku trzeźwi i pełen pomysłów na kolejne utwory, do których napisania także będzie potrzebował współautorów.

Zjawisko dziękowania zespołowi redakcyjnemu na forum publicznym za pomoc, jest zjawiskiem nieznanym. Zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że wiele utworów, nie tylko tych beletrystycznych czy eseistycznych, doczeka publikacji tylko dlatego, że gdy stawiane jest ich autorom takie oto ultimatum: zgoda na zmiany w tekście, albo nici z druku, zgadzają się na to pierwsze. I choćbyśmy nie wiem jak oceniali negatywnie formułowanie takiego warunku, jak też wyrażoną nań zgodę, nie zmienia to faktu, że w efekcie mamy do czynienia ze współautorstwem. To, że wymu-